



WIECZORY RODZINNE

Tygodnik Ilustrowany dla Dzieci i Młodzieży.

POMNIK JULIUSZA SŁOWACKIEGO W MIŁOSŁAWIU.

W kwietniu r. b. przypadła półwiekowa rocznica śmierci Juliusza Słowackiego, jednego z największych poetów kończącego się wieku, którego życiorys i portret podaliśmy w N-rze 14-tym Wieczorów. Dla uczczenia pamięci wielkiego poety Józef Kościelski, sam poeta i mąż stanu, wznosił w posiadłości swojej w Miłosławiu w W. ks. Poznańskim pomnik Słowackiemu, pierwszy jaki istnieje z wyjątkiem pomnika grobowego na cmentarzu Montmartre w Paryżu.

Pomnik, dłuta znanego rzeźbiarza Władysława Marcinkowskiego, przypomina rzeźby starożytne, zdobiące ogrody patrycyuszów. Na tle wspaniałego parku Miłosławskiego sprawia nader silne wrażenie.

Odsłonięcie pomnika, na które gospodarz zaprosił liczne grono wybitnych osób, odbyło się dnia 16-go września, a poprzedzone było nabożeństwem żałobnym za duszę poety, odprawionem w kościele Miłosławskim.

Z licznych mów, wypowiedzianych w czasie tej uroczystości przez znanych ogółowi mężów, przytaczamy mistrzowską a serdeczną mowę Henryka Sienkiewicza.

„Opatrzność, tworząc narody, hojnie osypała naszych praojców rozlicznymi darami. Dała im obszerne i żyzne ziemie; dała im zarazem lwie i gołębie serca, szlachetne dusze i bystre umysły, zdolne do najgórniejszych lotów.

Możnaby mniemać, że Bóg tworząc Polaków, rzekł im:

Oto, na domiar wszystkiego daję wam spiż dźwięczny, a niepożyty, taki, z jakiego lud, żyjące przed wami, stawiały posągi swym bohaterom: daję wam złoto błyszczące i giętkie, a wy z tego tworzywa uczynicie mowę waszą.

I została ta mowa, niespożyta jak spiż, świetna i droga jak złoto, jedna z najwspanialszych w świecie, tak wspaniała, piękna i dźwięczna, że chyba tylko język dawnych Hellenów może się z nią porównać.

Powstali również z biegiem wieków liczni mistrze słowa, którzy ze spiżu uczynili ramę harfy, a ze złota nawiązali na nią struny. A wówczas poczęła śpiewać ta polska harfa i wyśpiewywać dawne życie. Czasem huczała, jak grzmot w górach; czasem unosiła się nad równinami; czasem w skowronkowych tonach dźwięczała nad polami — błogosławiła i błogosławiona, czysta jak



Łza, Boża, jak modlitwa, słodka, jak miłość. Aż przyszedł wreszcie do tej naszej harfy największy z mistrzów—Mickiewicz i położywszy na niej natchnione dłonie, wydostał z jej strun takie jeszcze dźwięki, których nie domyślano się przed nim. Pieśń jego kończyła się aż gdzieś na Niebios progu, tak doskonała, tak prawie nieziemska, że wówczas nawet, gdy przestawał grać:

.....wszystkim się zdawało,
Że wielki mistrz gra jeszcze, a to echo grało...

Echo serc polskich..!

I wygrał szum naszych lasów, plusk naszych rzek i dżdżów, gromy naszych burz, pieśni naszego ludu — wszystko, co nasza myśl może objąć, serce odczuć, a dusza wyobrazić jako wniosłe i jako wzniosłe i jako najpiękniejsze w świecie.

Więc zdawać się mogło, że po nim i obok niego nikt nie zdoła już nic dodać tej mowie, że dosięgła już szczytu i że ozdoby a doskonałości nikt już nie potrafi jej przysporzyć.

A jednak znalazł się poeta, który to uczynił — i to jest ten, którego rysy widzicie, wykute dłonią mistrza w marmurze.

„Lećcie u zorzy prosić purpury,
Perłę u rosy, szafiru u chmury,
A może gdzie zawieszona
Na niebie tęczowa nić —
To tęczę wziąć na wrzeciona
I wić, i wić, i wić.”

Tak jest! On to uczynił. On nabrał pełnemi garściami pereł, szafirów, purpury, tęczowych blasków, olśniewających dyamentów i osypał niemi harfę tak hojnie, tak bez miary, że stanęła przed nami w niebывałym blasku, przepychu i majestacie — niby Harfa-Królowa, przed którą gną się kolana ludu i schylają się czoła ludu, jak ongi przed harfą Dawida.

I oto jego zasługa, jego chwała, jego wielkość.

Pokolenia będą czerpały z tych skarbów, pokolenia będą z podziwem i zdumieniem się pytały, jak zdołał i mógł to uczynić?

A jednak — uczynił.

Zdołał — bo poezya w jego duszy była jak nieprzebrane wody mórz, a mógł — bo tylko zmarłym nie można nic dodać. Przed żywą królową zawsze można uderzyć czołem i przynieść jej skarby w ofierze; ta zaś nasza królowa, którą on obdarzył, była i będzie nietylko żywa, ale i nieśmiertelna.”

Juliusz Słowacki.

ODWIEDZINY PIRAMID.

Nim doszedłem zaściennej piramid ulicy,
Schyliwszy się, podniosłem kamień soczewicy,
Która dawniej karmiła głazów robotniki,
I stała się pomnikiem pomiędzy pomniki;

Ta sama kształtem, tylko wosku wzięwszy białosc,
Dziś — różniąc uczone głowy — skamieniałość!
Postrzegłszy, że krainę głazów ruszał senną,
Jakby mi chcieli w piaskach zadać śmierć kamienną,
Araby mię w grobowcach otoczyli gęściej,
A każdy trzymał granit ważony na pięści —
Od nowej się napaści obroniłem skoro,
Głaz pamiętek kupiwszy za paru pięciuro.
I szedłem z Arabami w piramidy lonie,
Szukając drzwi — te były na zachodniej stronie.
Przed drzwiami do nizkiego podobną pagórka
Piramidę małą ma Cheopsa córka.
Stanąłem — tak pokornie tu się położyła
Przy mogile ojcowskiej dziecięca mogiła,
Że lzy miałem na oczach...

W piramidy ścianach
Jest otwór, gdzie do grobu wchodzisz na kolanach.
Arab z pochodnią wpłynął i zniknął. Musiałem
Synom stepów się oddać i z duszą i z ciałem.
Dwóch zaprzęgåł się do mnie, dłonie wzięli w kleszcze,
Trzeci lał rakiem świecąc, a czwarty mię jeszcze
Popychał — i w ciemnościach mnie gmachu pogrzebli
I ślizkami kominy, bez schodów i szczebli
Wiedli w górę, aż wreszcie mogłem podnieść głowy,
Obaczywszy się żywym w Komnacie Królowej.
I znów jak przez korytarz kamiennego ula,
Pełznąć, obaczyłem się w Sali mumii Króla.
Blask pochodni się lekko po ścianach rozplął.
Sarkofag próżny — ręką uderzyłem — dzwonił,
Jak rzecz pusta...

Wyszedłem z granitowej skały
Jak senny, zadziwiony dniem, co świecił biały,
Palm zielonością, piasków oświeceniem złotem,
Westchnąłem z głębi piersi... za niczem... a potem
Obróciwszy się, czarne zapytałem guidy,
Gdzie — którądy się idzie na szczyt piramidy?
Pokazali mi lewy brzeg nierówno zlany
Z ciemnej, nie oświeconej promieniami ściany.
Przemierzwszy, jak czynią podróżni roztropni,
Wielkość każdego — mnogość do przebycia stopni,
Wiedząc, jak się grobowce pod nogami kruszą,
Arabom się oddałem ciałem, Bogu duszą.

Z dwóch Beduinów tylko mój orszak się składał,
Każdy na wyższy kamień wskakiwał, przysiadł
I podawał mi ręce... i tak szedłem długo.
Raz mi kamień był stołem, drugi raz framugą.
Trzy a zaledwie z dołu widziane szczelinki
Były jak trzy komnaty na trzy odpoczynki.
W głowy zawrocie jużem nie pomniał, gdzie idę,
I tak wszedłem na pierwszą w świecie piramidę.

WZAJEMNA POMYŁKA.

POWIEŚĆ

p. Teresę Jadwigę.

(Dalszy ciąg).

Ci, co w pobliżu siedzieli, nie słyszeli rozmowy Cesi z Ruszczycem; zauważyli wszakże, iż dziewczynka bardziej jeszcze spoważniała, że ciemne jej oczy posmutniały...

Jak zwykle tak i tej niedzieli do późnej nocy bawili goście u państwa Kantów. Cesia nie ożywiła się do końca wieczoru, a gdy salon opustoszał, wymknęła się niepostrze-

żona do swego pokoju, nie powiedziawszy nawet dobranoc; lecz ciotka pośpieszyła za nią i zmusiła, aby siadła z nią na kanapie.

— Co ci jest, dziecko? powiedz mi, proszę — odezwiała się serdecznym tonem i ogarnęła dziewczynkę pieścizłotliwie ramieniem.

— Smutno mi — odparła Cesia — lecz niech ciocia nie pyta, jutro poweseleję, praca najlepszym na smutek lekarstwem.

— A ja drugie, smaczniejsze przyrządę — odparła pani Kantowa, uśmiechając się do niej i głaszcząc jej głowę — urządzę szlichtadę do Wilanowa. Mamy teraz wspólną sannę, zaproszę na śniadanie do Wilanowa towarzystwo, które było dziś u nas, pana Ruszczyca także i zabawisz się wesoło.

— O nie nie, ciociu! nie czyni tego! — wykrzyknęła Cesia i pochylivszy się z pocałunkiem do ręki pani Kantowej dodała ciszej, tonem prośby wielkiej. — Nie odrywaj mnie, ciociu, od pracy, praca to moje szczęście całe, to mój anioł stróż.

Na twarzy pani Kantowej odmalowało się wzruszenie, uścisnęła w milczeniu dziewczynkę i oddaliła się zamyślona.

Cesia ukłękła do pacierza i modliła się długo tego wieczoru; poczem, gdy położyła się, poczęła półgłosem snuć plan dni następnych:

— Jutro, gdy wrócę z lekcji do domu, przejrzę i uporządkuję notatki moje — mówiła sama do siebie — pojutrze wybiorę się do p. Jankowskiego, aby zapytać go, kiedy zajęcia w ogrodzie się rozpoczną. Trzeba też będzie wziąć sobie z czytelnicy co poważnego do czytania; zaniedbałam strasznie umysł podczas pobytu Reni w Warszawie, trzeba to wynagrodzić teraz.

Wśród takich myśli usnęła wreszcie, sen przyniósł jej widzenie piękne: Zdawało jej się, iż idzie samotna wąską ścieżką, która w dali w kilku kierunkach się rozbiega, że stanęła niepewna, którą obrać, wtem zbliżyła się do niej matka i położywszy rękę na jej ramieniu, wyciągnęła białą dłoń w kierunku jednej z owych licznych ścieżek. „Idź, dziecię tą drogą, przy której stoi drogowy skaz z napisem: „praca” — rzekła, a strzeż się złudnych marzeń i bezczynności.

Pod wrażeniem tego snu ubrała się nazajutrz wcześniej niż zwykle, pośpieszyła na lekcje i zabrała się energicznie do pracy. Pani Kantowa zaniechała myśli o szlichtadzie, nie przeszkadzała dziewczynce, stała się teraz tylko dla niej jeszcze czulszą i troskliwszą, a ile razy mówiła o niej z mężem, kończyła zawsze rozmowę słowami: „Dzielną dziewczyną z tej Cesi.”

Cesia pracowała w istocie dzielnie, całe unie była zajęta, w niedzielę tylko używała odpoczynku i rozrywki. Minęła tymczasem zima, rauty przerwane zostały. Pan Zdzisław Ruszczyca znikł ze świata, w którym żyła Cesia; od owej niedzieli ostatniej u państwa Kantów nie widziała go więcej, nazwiska jego nikt nie wymawiał, jakby piękny panicz zatarł się w pamięci wszystkich.

Ciepłe promienie słońca zbudziły ze snu długiego naturę, wystroiła się ziemia w zieloną szatę i w białe kwiaty; świergocze ptactwo wesoło, wije gniazda dla przyszłej rodziny, pola obiecują rolnikowi plon obfity. Uśmiechnęła

się wiosna do dzieci, do młodych i starych; witają ją wszyscy wesoło i Cesia z innymi, lecz ona nie podawnemu już witała odrodzenie natury. Jeszcze roku zeszłego, gdy pierwsze kwiatki na łące ujrzała, narwała ich całe pęki, całowała i pieściła się z niemi, jak dziecko, teraz tylko popatrzyła z rozrzewnieniem na jabłonie różowym kwiatem osypane, na białe grusze i rzekła poważnie:

— Piękny to miesiąc maj.

Cesię coś zmieniło, coś przeistoczyło tklive, pełne egzaltacji dziewczę, dziecko jeszcze — w poważniejszą i dojrzalszą osobkę.

Ciotka Kantowa różne robiła domysły.

— Pewno nadmiar pracy — mówiła znajomym, którzy również spostrzegli, iż Cesia bardzo się zmieniła i o przyczyny pytali. — O ósmej rano śpieszy już do ogrodu Jankowskiego: kopie, sadi, tnie... o drugiej wpada do domu, by zjeść pośpiesznie obiad, potem dąży na lekcje teoretyczne, a wróciwszy robi notatki... To za wiele na nią, pewno czuje się zmęczoną.

— Powinna ją pani odrywać od pracy, bawić — rzekła pani Millerowa.

— Nie tak to łatwo z Cesią, stanowcza jest, gdy usilnie namawiam ją na zabawę, to patrzy na mnie tak błagalnie i powie: — Ciociu, praca to moje szczęście, mnie najlepiej z pracą — iż odchodzę. W istocie, parę razy dała się namówić, poszłyśmy do teatru, na koncert, ale widziałam, że nie zrobiło jej to wielkiej przyjemności. Podziękowała mi uprzejmie, gdyż wróciłyśmy do domu. — Ciocia jest bardzo dobra dla mnie — rzekła — ale nie rozjaśniła twarzy, była nawet może jeszcze smutniejsza nazajutrz.

Zbliżył się powoli i czerwiec; pani Kantowa poczęła namawiać męża, aby której niedzieli wybrali się do Wilanowa, bo ta wycieczka zrobi z pewnością przyjemność Cesi i korzystnie oddziała na jej zdrowie.

— Więc jedź, kiedy masz ochotę, ja ci nie bronię, tylko mnie zostaw w domu — odparł szorstko pan Wilhelm.

Pani Kantowa postanowiła, iż pierwszej pogodnej niedzieli najmie powóz i wybierze się na spacer z Cesią.

Pewnego wieczoru, gdy dziewczynka wróciła do domu, ciotka powitała ją temi słowy:

— Musisz mi podarować jeden dzień powszedni.

— Wszakże w niedzielę miałyśmy jechać do Wilanowa — odparła Cesia.

— Tym razem nie Wilanów mam na myśli — rzekła pani Kantowa — jutro w Dolinie Szwajcarskiej jest zabawa na cel dobroczynny, przyrzekłam Millerowej, że przyjdziemy do jej namiotu i pomożemy sprzedawać kwiaty.

Cesia zarumieniła się; gwałnych zebrań nie lubiła teraz, jednakże nie odmówiła stanowczo.

— Jeśli sobie ciocia życzy koniecznie — odezwiała się zwolna, jakby namyślała się co dalej powiedzieć.

Lecz pani Kantowa nie pozwoliła jej namyślać się, uściskała ją serdecznie, poczem do swojego pokoju pośpieszyła i przyniosła dziewczynce różową, jedwabną bluzkę i nowy kapelusik, które przygotowała na tę zabawę.

Cesia uczuła się wzruszoną jej dobrocią i rada była, iż nie sprawiła jej przykrości odmową.

I wybrały się nazajutrz na tę zabawę. Cesia poznała tego dnia mnóstwo osób, coraz ktoś ze znajomych zbli-

zał się do namiotu, by kupić bukietek fiołków, lub różę, zamieniał słów parę z paniami, kładł na tacę papierek kilkorublowy i odchodził do innego namiotu.

Różnobarwne fale, strojne, gwarne, ożywione płynęły ustawicznie dokoła ogrodu; orkiestra coraz inne melo-

Do pow. „Trzydzieści lat wśród dzikich.”



Iguana oczekująca napaści węża.

dye grała, Cesię uczuła się odurzona tem wszystkim, patrzyła, słuchała lecz w końcu nic nie widziała i nic nie słyszała.

Tak minęło poobiedzie, wieczór zapadł, zmrok zasłonił publiczność... Jakieś cienie niewyraźne przesuwają się teraz przed oczyma siedzących w namiocie. Czując się zmęczoną, Cesia usunęła się w głąb i podparwszy głowę na rękę utonęła w myślach. Orkiestra grała właśnie walc z Fausta, który przypominał jej karnawał, oczyma duszy ujrzała salę balową, Renię w białej sukni, Zdzisława i wiele innych osób. Naraz zbudziła się z myśli; zdało jej się jakby dłoń niewidzialnej wróżki jakąś cudowną lampę zapaliła niespodzianie, lub że kilka księżyców wypłynęło naraz na niebo. Srebrne światło oblewało ogród, a w świetle tem zarysowały się, drzewa o wiele wspanialsze niż zwykle, pałac z tarasem wydawał się, jak zaklęty zamek, kwiaty jakieś barwy nieziemskie przybrały... Zapalono światło elektryczne.

Wkrótce do namiotu wszedł młody człowiek, położył na tacy dziesięć rubli.

— Proszę o jedną różę — rzekł uprzejmie.

— Pan Ruszczyć! — zawołała pani Kantowa — niech pan spocznie chwilę.

— Cesia podała Zdzisławowi pączek herbacianej róży, on skłonił się uprzejmie i korzystając z zaproszenia usiadł na wolnym krzeselku.

— Co się z panem działo przez całe pół roku? — zapytała pani Kantowa.

— Stryj Antoni chorował niebezpiecznie, pielęgnowałem go — odparł Zdzisław.

— A czy obecnie jest lepiej?

— Obecnie jest zupełnie zdrow.

— Więc może będziemy mieli przyjemność widywania pana u siebie — rzekła znowu pani Kantowa, on odpowiedział jej milczącym ukłonem.

— Zwykle niedzielę spędzam teraz po obiedzie w Łazienkach lub w Wilanowie — ciągnęła dalej pani Kantowa. — Cesia przywykła do świeżego powietrza; duszno jej w mieście.

— Gdzie tej niedzieli wybierają się panie? — zapytał Zdzisław.

— Do Wilanowa — odparła Kantowa — jest to moja ulubiona miejscowość.

Zdzisław znowu nic nie odpowiedział, lecz zwrócił się do Cesi i zapytał ją, czy dawno miała wiadomości od Reni i kiedy do Wątowni się wybiera; poczęli ze sobą rozmawiać, gdy huk rakiet przerwał tę rozmowę.

Coraz inne ognie sztuczne wzbijały się pod obłoki, okrzyki zachwytu, jakimi tłum napełniający ogród witał ogniste bukiety, zagłuszały słowa.

Nareszcie zabawa się skończyła.

— Czas nam wracać do domu — odezwała się pani Kantowa i poczęła się żegnać z panią Millerową. Zdzisław odprowadził panie do powozu.

Nazajutrz po obiedzie pani Kantowa wybrała się z Cesią do Wilanowa na spacer; towarzyszył im w tej wycieczce Jakób Merkel, który rad z zaproszenia niespodziewanego, żartował przez całą drogę, śmiał się, dowcipami rzucał, aż w końcu tak znużył Cesię, iż oparłszy się o poduszki powozu oczy przymknęła. Spozobegł wreszcie Jakób, iż wesołość jego hałaśliwa męczy dziewczynkę, więc ucichł i w milczeniu jechali dalej.

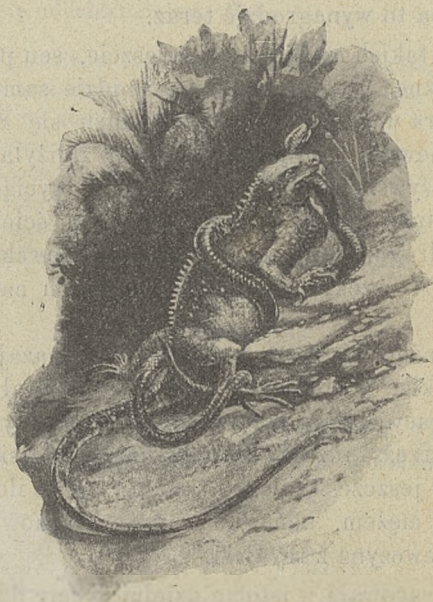
Gdy przyjechali do Wilanowa, pani Kantowa, wysiadłszy z powozu, wsparła się na ramieniu bratanka.

— Chodźmy do parku, — rzekła. — Cesia, wysunąwszy się naprzód szła zamyślona.

— Witam panią — odezwał się naraz głos dobrze jej znajomy.

Podniosła oczy i zobaczyła Zdzisława, który podał jej rękę na powitanie. Po przywitaniu szli dalej parami.

Do pow. „Trzydzieści lat wśród dzikich.”



Iguana walcząca z wężem.

— Kiedy pani wraca wreszcie na stałe do Wątowni — zapytał naraz Zdzisław.

— Zapewne później, niż sądziłam — odpowiedziała spokojnie Cesia — jeszcze nie mogłabym odważyć się zająć wuja ogrodem.

Ruszczyć ruszył ramionami:

(d. c. n.)



Wybuch Etny. (str. 336).

NA CO ZWIERZĘTOM POTRZEBNE SĄ BARWY?

PRZEZ

Dr. M. Stefanowską.

Wszyscy wiemy, że zwierzęta rozsiane po całej kuli ziemskiej posiadają najrozmaitsze barwy; niekiedy szaty ich zdumiewają nas swym przepychem i blaskiem, to znowu są szare, posępne, nawet żałobne. Dla czego taka różnorodność barw w przyrodzie? Czy zwierzętom przydać się na co mogą ich stroje różnobarwne? Przyjrzyjmy się nieco bliżej rozmaitym zwierzętom, a znajdziemy odpowiedzi na powyższe pytania.

Na dalekiej północy żyją białe niedźwiedzie, niebieskie lisy, białe zające i wiele innych zwierząt, porośniętych białym włosem, przynajmniej w zimie, tak, iż trudno dojrzeć je na śnieżnych równinach, po których biegają, bądź szukając zdobyczy, bądź kryjąc się przed napastnikiem.

Na palących piaskach Sahary i Arabii inne obrazy: tu szaty mieszkańców są płowe, szaro-żółte, jak sama pustynia i trzeba mieć bardzo wprawne oko, aby dojrzeć zdaleka spoczywającego na piasku lwa, albo gazelle.

Na naszych ornych gruntach gnieźdzą się kuropatwy, przepiórki, skowronki, a rudawo-szare ich pióra, jak nasza rola, czynią je prawie niewidzialnymi. Ziemistą barwę mają również zające, dzikie króliki, szczury i myszy, kryjące się w norach polnych.

Między ptactwem leśnym zdarza się nieraz widzieć, że samiec posiada piękne, żywe barwy, wówczas gdy samiec okrywa niepozorna szara suknia. Gdy się widzi tak wielką różnicę, to z początku trudno uwierzyć, że te dwa ptaki należą do jednego gatunku.

Już słyszę, jak niektórzy z czytelników odzywają się: „Dlaczego taka niesprawiedliwość zaszła przy strojeniu tych dwu ptaków?” Oho, poczekajcie chwilkę, a dowiecie się zaraz, że szare piórka są rzeczą niezmiernie cenną w życiu tego gatunku.

Na wiosnę samica z wielką troskliwością wybiera miejsce, w którym ma zwinąć swe gniazdo; zawiesza ona je zwykle między szaremi konarami drzew, albo ukrywa w krzaku na ziemi. Gdy się wylęgła pisklęta, są one początkowo okryte szaremi piórkami, tak jak matka; a ponieważ i gałęzie i ziemia mają szarą barwę, więc nie łatwo jest znaleźć kryjówkę tej rodziny i zabrać pisklęta. Piękne zaś barwy samca rzucają się zdaleka w oczy każdemu, jest on przeto w każdej chwili narażony na drapieżność innych ptaków oraz na chciwość człowieka.

Czytelnicy nasi wiedzą już z dawnych opowiadań, że różne zwierzęta morskie bywają zupełnie przezroczyste, tak, iż chociaż gromadami pływają po powierzchni morza, niepodobna odróżnić ich od wody. Przeciwnie zwierzęta, żyjące w tak zwanym „morzu sargassowem” mają najczęściej barwę oliwkowo-żółtą, dzięki której niepostrzeżenie znikają wśród bujnej roślinności żółtawych wodorostów, nagromadzonych w tej części oceanu Atlantyckiego.

A któż z nas nie wie, jak często zwierzęta lądowe, żyjące w trawie i na liściach drzew, mają barwę tak zieloną, jak najświeższa zieleń! Jaszczurki, żaby, mszyce, rozmaite chrząszczyki i gąsienice, tak znikają na zielonym tle roślin, iż nieraz stoimy tuż przy nich, a nie domyślamy się ich obecności, i bywamy często zdziwieni, gdy przypadkowo dotknijemy je dłonią, chcąc zerwać roślinę.

Powyższe przykłady świadczą, że zwierzęta często miewają taką samą barwę, jaką ma tło, na którym żyją, dzięki czemu stają się mało widoczne, zupełnie tak, jak gdyby znajdowały się w jakiejś kryjówce. Na śnieżnych równinach zwierzęta są białe, w pustyniach żółtawe, na na-

szej roli rudawe, na liściach żyjące zwierzęta zielone, a po morzu pływające są przezroczyste, jak woda.

W naśladownictwie tem niektóre zwierzęta okazują niekiedy wielkie mistrzostwo, gdyż naśladują nie tylko ogólne tło, ale najdrobniejsze nawet jego szczegóły. Weźmy jeden z przykładów: Kto przyglądał się uważnie ćmom nocnym, ten wie dobrze, że skrzydła ich są często szaro-brunatne, okryte żyłkami i prążkami, które doskonale naśladują, korę, albo szerniałe drzewo. Dzień spędzająśmy nieruchomo na korze drzew, a ponieważ zawsze są podobne do kawałka kory, przeto mało kto je zobaczy.

Tak liczne przykłady podobieństwa istniejącego między barwą zwierzęcia a barwą jego otoczenia nie powinny być poczytywane za dzieło wypadku. Zachodzi więc teraz pytanie, jakim sposobem powstało to podobieństwo?

Uczeni mówią nam, że zwierzęta umieją zmieniać barwę swej skóry i mogą uczynić ją podobną do tego tła, na którym żyją. Tak na przykład, rybacy wiedzą o tem dobrze, że tenże sam gatunek ryb w rozmaitych miejscowościach miewa inaczej nieco zabarwioną skórę; znane są z tego zwłaszcza pstrągi, tak, iż znawcy tych ryb, poznają natychmiast po kolorze skóry, z jakiej miejscowości one pochodzą.

Między owadami zdarza się nader często, że też same gatunki mają odmienne barwy w rozmaitych miejscowościach. Przyrodnicy opisują np., że w Anglii motyle białe, oraz motyle posiadające żywe barwy najczęściej napotykają się tam, gdzie gleba ma kolor kredowy, albo też tam, gdzie pokrywa ją jasny żwir, jak to bywa na południu Anglii. Przeciwnie, też same gatunki motyli mają w Anglii barwy ciemne tam, gdzie gleba jest ciemniejsza. Tym sposobem w obu tych wypadkach motyle stają się mało widoczne, gdy spoczywają nieruchome na ziemi.

Przyrodnicy mówią nam, że jeżeli zwierzę zawędruje do innego kraju, to pod wpływem barwy roli, barwy wody, liści i t. p. w skórze zwierzęcia zająć mogą *powolne zmiany*, tak, iż wkrótce stanie się ona inaczej zabarwioną niż była pierwotnie, a nawet wytworzyć się mogą na skórze inne desenie niż te, które ją przedtem zdobiły. A te nowe zmiany najczęściej służą na pożytek zwierzęciu, gdyż chronią je lepiej przed okiem napastników.

(d. n.)

Jan Niewdźyd

Powieść z dawnych czasów

przez

Z. Morawską.

(Dalszy ciąg)

A tu właśnie doszły wieści, że Turek się zbliża. Za małe były siły, ażeby stoczyć walkę w otwartym polu, gdy się jednak dowiedziano, że to tylko niewielka część wojska Mahometa IV wysłana na zwiady, Eliasza Łącki stawiał jej czoło.

W rezerwie była młodzież nieotrząskana jeszcze w boju, wśród niej znajdował się Niewdźyd. Ten zaszedłszy w nocy do obozu nie wiedział, że jego pana w bezpieczne miejsce musiano przewieźć.

Młodzieniec, rwący się wciąż do walki, z trudnością się powstrzymywał, ażeby uleść posłuszeństwu. Gorącością zaś swą i zapałem podniecał innych, utrzymując w nich energię i odwagę. Pod Skwarnem Olszowski błogosławił garście walecznych, gdy król pod osłoną kilkudziesięciu

ludzi wracał do Lwowa, by na Wysokim zamku zasiąść znów w wygodnym fotelu. Gdy się już czuł bezpiecznym, zawołał:

— Niewdzyd!

Szukano go wszędzie, lecz ulubionego dworzanina nigdzie nie było. Musiał go zastąpić Inocenty.

Król skrzywił się nieco ujrzawszy nową twarz w swej komnacie, dowiedziawszy się jednak, że Niewdzyd gdzieś w zamieszaniu pozostał, nie pytał więcej o niego.

Łącki tymczasem odpierał pierwsze natarcie Turka.

— Pozbierać rannych! — zawołał dzielny pułkownik po skończonej bitwie.

Jakkolwiek odniósł zwycięstwo i Turcy cofnęli się a raczej pochowali w podkopy, wiedział doskonale, że się niebawem zbiorą i z większą siłą na nich uderzą.

Tem mniej cieszyło go zwycięstwo, że okupione zostało wielką stratą ludzi młodych, chętnych do boju z zaparciem się siebie i wszelakich względów.

Chodził więc smutny po obozowisku i sam osobiście pilnował, ażeby zabrano każdego, w którym choć isierka życia jeszcze tliła.

Wśród leżących uderzyła go twarz blada młodego człowieka, wyrosłego zaledwie z chłopięcych lat.

Krew zakrzepła sączyła się około jego głowy, usta nie poruszały się wcale. Ubranie dostatnie, półzbroiczka pięknie odrobiona i rysy twarzy delikatne, dowodziły, że pochodził z zamożniejszego domu. Lecz zbroiczka w kilku miejscach szpetnie pogięta i miecz w zaciśniętej kurczowo dłoni dawały zarazem świadectwo, że młodzian bronił się do ostatka i legł dopiero wtedy, gdy się już na nogach utrzymać nie mógł.

Łącki pochylił się nad nim, zdawało mu się, że twarz tę widział już kiedyś, lecz gdzie, nie mógł sobie przypomnieć.

Pochylił się jeszcze więcej. Życie tliło jeszcze w tej młodzieńczej piersi, po bliższem zbadaniu okazało się, że rana nawet niezbyt groźna, tylko upływ krwi znacznie osłabił młodzińca, i o mało o utratę życia nie przyprowadził.

Przewieziono go wraz z innymi do Lwowa, gdzie Łącki postanowił zamknąć się i bronić do upadłego w razie nowego napadu nieprzyjaciela.

Tymczasem zajęto się rannymi, których mieszczaństwo porozbierało pomiędzy siebie, a kobiety pilnie się chorymi zajęły.

Najdzielniejsze miejsce wśród niewiast zajmowała żona i córka znanego nam już kapitana Hebracza. W jego to domu przypało miejsce owemu rannemu młodzieńcowi, który zaciekawiał swoim wyglądem pułkownika Łąckiego.

Na drugi dzień po przywiezieniu rannych przybiegł do Łąckiego burmistrz Zimorowicz i rzekł:

— Bracie, wielki skweres na zamku, zaginał jeden z dworzan, ulubieniec jego królewskiej mości, a co więcej, bodaj czy nie poufny podkanclerza...

— Jeden psiaczek się zawieruszył, jest ci i tak dosyć darmożjadów! — odrzekł z lekceważeniem pułkownik, gotujący się właśnie do przeglądu ochotników, których jakoś zwerbować zdołano.

— Ba, żeby to o jednego z tych darmożjadów chodziło, nie brałbym i ja tego do serca, ale to podobno jakaś sprytna bestya, mazur bodaj rodem...

— Wszystko mi jedno, ja go tam szukać nie będę! — ofuknął pułkownik przyjaciela.

I rozpoczął przegląd oczekujących nań ochotników.

Pan Bartłomiej jednak nie poprzestał na tem. Zobowiązany przez Olszowskiego, podjął wszelkie ku temu wyzyskaniu starania, i jako gorliwy gospodarz miasta, osobiście postanowił się coś dowiedzieć. Gdy mu się nie udało u Łąckiego, poszedł wprost do domu Hebracza, wiedząc, że tam mają o rannych staranie.

— Moja jejmość, niema tam między waszymi rannymi dworzanina królewskiego? — zapytał, wchodząc do mieszkania pocziwego wojaka.

Pani Izydorowa zajęta była wraz z córką Ulina związaniem bandażu i przygotowaniem bielizny dla rannych, których pilnie opatrywała. Powitała przyjaźnie pana burmistrza, niemniej swoim zwyczajem rzekła opryskliwie:

— Nie meldował ci nam się żaden, czem był, nim go Turek pogłaskał.

Bo ile była niewiastą miłosiernego serca, tyle i gniewliwego usposobienia.

— Może... — szepnęła coś matce Ulina.

Ale matka podrzuciła ramieniem i rzekła:

— Kto go tam wie!... ranny, to dosyć!

— Ulinko, serce, a gdyby tak jejmość pozwoliła, poszlibyśmy oboje z dziewczynką i zapytali naszych rannych.

— Ach, żebym potem miała z nimi termiedy, jakby zaczęli się rozwodzić, gadać, a wstawać! — mówiła pani Izydorowa. — Potem, komu bieda, pewnie nie wam — dodała.

— Jakież tam przezwisko tego waszego dworzanina? — spytała nagle, zatykając za pas brzeg zapaski, w której właśnie miała przygarście szarpi.

— Wiem, że mu Jasiek, i że rodem mazur, aleć mi nawet przezwiska nie powiedziano! — odrzekł, uśmiechając się pan burmistrz.

— Ba, szukaj wiatru w polu, toć Jaśków tyła co piasku — rzekła, wzruszając ramionami jejmość.

Ulina zaś znów coś szepnęła matce.

— Ten, nie ten, znajdę go bez ciebie, jeśli jest — ofuknęła i zniknęła za drzwami.

— Siadajcie, panie burmistrzu dobrodzieju — rzekła Ulina, wskazując ławę okrytą wzorzystym kilimkiem. I dalej zajęła się skubaniem szarpi.

Pan Bartłomiej skorzystał z zaproszenia, a uśmiechnąwszy się do uprzejmego dziewczęcia, zapytał:

— Ulinka, serce, znasz wszystkich rannych, których opatrujecie?

— Matka nie pozwoliła mi być przy opatrunku, powiada, żem za młoda i nie umiem koło tego chodzić, ale im jeść, pić podaję, bandażę robię, i przyuczam się do obsługi, żebym potem tak jak matuś dobrodziejka umiała — szczebiotała dziewczeczka.

— Więc znasz serdeczko wszystkich rannych?

— Jakżebym znać nie miała, przecie ich jeno dzie sięciu. Jeden, to mu Franciszek, dwóch Tomaszów, jest Józef, jeden to jak waszmość dobrodziejowi, Bartłomiej, a jeden Szymon i aż trzech Jaśków. Ale między tymi trzema z pewnością jest jeden Jasiek, co go pan burmistrz dobrodziej szuka — dodała.

— A poczemżeś poznała, rybeńko! — zapytał, uśmiechając się pan Zimorowicz.

— Hm, taki delikatny na twarzy, z pańska mówi, toć chyba ze dworu królewskiego.

Wtem weszła pani Izydorowa.

— Gdzie tam, niema waszego dworaka — rzekła, wracając jejmość. — Jest ci tam trzech Jaśków, ale dwóch to już leciwych, na dworskich nie patrz, zresztą znam ich, byli już pod moją ręką nieraz. Ten trzeci to młokos, duży, barczysty, jak dąb, aleć teraz leży wybladły, boć go o mało krew nie uszła, istny Jezusik po męce. Widno mu coś bardziej dolega, bo gdy go pytała, nawet oczu nie otworzył. Ażem go za nos pociągnęła, bom myślała, że skończył. Ocknął się też zaraz, a gdy go spytała:

— Czyś ty dworzanin królewski? zamknął znów oczy i tylko ręką dał jakiś znak. Ale nie, nie, gdyby był dworzaninem, zarazby się przyznał, choćby w godzinę śmierci. Toć to zaszczyt nielada!

Ulina podczas opowiadania matki patrzyła szeroko rozwartymi oczami, a gdy matka upewniła, że ranny Jasiek nie jest dworzaninem królewskim, runiana, wesoła jej twarzyczka posmutniała i z całą szczerością rzekła:

— Szkoda!

— Szkoda! i ja żałuję! — przywodził pan burmistrz i dodał:

— Jakbyście tam gdzie zasłyszeli o takim, donieścież mi zaraz, bo król sam dowiada się o niego

Król jak wiemy nie dopytywał się o Niewdzyda, o którego to właśnie chodziło, dopytywał się za to podkanclerzy bo od ostatniej rozmowy i wypadków poznał się na młodym mazurze, rachował więc, że będzie mógł przy jego pomocy wiele rzeczy przeprowadzić.

W ogóle zaś dzielność i zapał młodzieńca podobały się jego excelencyi.

Trudna jednak rada, mimo poszukiwań, Jaśka nie odnaleziono.

— Zginął lub do niewoli wzięty! — pomyślał sobie Olszowski i więcej o zaginionego nie pytał.

Szukał go tylko Marek i Ludwik, lecz ci, nie mogąc się bardzo oddalać od dworu, nie mogli też i poszukiwać swoich rozwinąć.

Inocenty, który coraz więcej wyświeżony, dostąpił dawno upragnionego zaszczytu i czytywał królowi, nie troszczył się zgoła o towarzysza. Że zaś umiał nieźle czytać nawet po łacinie i po włosku, zadawała to zupełnie monarchę, który zresztą przy czytaniu Inocentego, jak i poprzednika, zasypiał lub wprawiał się w coraz szybsze puszczenie młynka palcami, którymi nawet przez sen obracał.

Zadowolony ze swego stanowiska, Inocenty obawiał się powrotu Niewdzyda i był bardzo dlań niechętny. To też raz ozwał się lekceważąco:

— Wszystko jedno, umarł czy służy Turkowi, jak służył poprzednio naszemu panu.

— Jak śmiesz mówić coś podobnego; — stanął w obrobie przyjaciela Marek.

— Wyłomacz się! — zawołał butnie Ludwik, którego teraz bolała bezczynność, gdy inni szli na Turka.

— Nie mam czasu, król mnie woła! — rzekł elegancik. I wykręciwszy się na pięcie, skierował się ku królewskiej komnacie.

— Jak on śmie odzywać się tak o naszym Jaśku! — rzekł błąd Marek.

— Przekora jakiś, lizus! — odrzekł lekceważąco Ludwik.

— A jednak to szczególne, gdzie on się podział?... — dodał po chwili.

— Rwał się do walki, to go i uśmiercili! — odrzekł smutnie Marek.

ROZDZIAŁ XIV.

— Chłop jak dąb, a taki nurkowaty, że słowa od niego nie dobiegą — mówiła pani Izydorowa do córki, w jakiś czas po odwiedzinach pana burmistrza.

— Może jeszcze chory? — rzekła Ulinka.

— Toć mu już jagody poczerwieniały, jeść też może...

— I, nie tak bardzo, jakem mu zaniósłą polewkę, to choć doskonale była omaszczona, trzymał długo łyżkę nim zaniósł do ust i tak wdychał, że aż i mnie się sinutno zrobiło — mówiła ze współczuciem Ulinka.

— Znać mu jakiś robak serce gryzie! — dodała.

— Co ty wiesz, błaznico! — ofuknęła matka. — Pa-trzaj, żeby wszyscy chorzy mieli czem się posilić, a nie lamentuj nad tym nurkiem.

I odtąd nie wiedząc nazwiska owego młodzieńca, dla odróżnienia go od innych Jaśków, nazywała go nurkiem.

Mimo swej opryskliwości, pani kapitanowa przywiązała się do swoich chorych, owego zaś Jaśka szczególnie jakoś polubiła.

Widziała, że chłopiec lada chwila zerwie się i pójdzie do boju, rozumiała nawet konieczną tego potrzebę, nie chciała jednak wypuścić go z pod swej opieki, póki w zupełności nie wydobrzeje.

Rana na ramieniu i za uchem już się zablizniła, tylko w skutek nadzwyczajnego upływu krwi, siły jeszcze owemu nurkowi nie wracały,

— Istotnie, gryzie go jakiś robak, boć przy moim starunku i jego młodości, powinien być już rańniejszy — myślała sobie pani kapitanowa.

— Nie trzeba mu też żadnych wieści o Turkach donosić, zda się i on, choć później, niech wydobrzeje.

Nie opowiadano więc o coraz smutniejszych wieściach, jakie napływały z okolicy nekanej przez groźnego nieprzyjaciela.

A Turcy Lwów oblegali.

(d. c. n.)

WYBUCH ETNY.

Największy z wulkanów naszej części świata znowu przypominał się światu. Etna wznosi się, jak wiemy, w północno wschodniej części Sycylii i liczy 10630 stóp wysokości. Najwyższa część góry, z której właściwy jej szczyt wystaje, pokryta jest lodem, śniegiem i popiołem wulkanicznym. Na wysokości 7500 stóp ustaje zupełnie wszelka roślinność. Krater czyli otwór wulkanu ma mile obwodu i 100 sążni głębokości. Otóż dnia 19 lipca r. b. po siedmiu latach względnej bezczynności nastąpił gwałtowny wybuch. O godzinie 9 ej rano wystrzelił z krateru słup dymu i za chwilę deszcz popiołu zasypał stoki góry.

Początkowo, jak opowiadają świadkowie, kłęb dymu wyglądał, jak olbrzymi kalafor, potem wydłużył się ogromnie, jak widzimy na rycinie.

Jednocześnie w głębi ziemi rozlegał się gwałtowny huk, podobny do grzmotu. Tego samego dnia w Rzymie odczuło trzęsienie ziemi, szczęściem niezbyt silne.

PRENUMERATA WYNOSI:

W WARSZAWIE rocznie rub. 4, z przesyłką pocztową rub. 5 — stosownie do tej ceny półroczna i kwartalna.

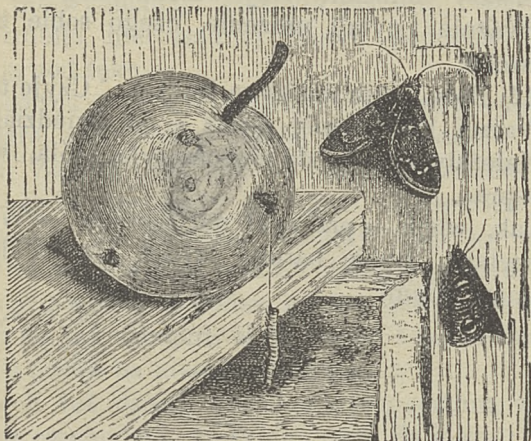
W Austrii kwartalnie zlr. 1 cent. 50 (3 korony). — W Prusach: kwartalnie mar. 3.

ADRES REDAKCYI, ULICA Mazowiecka Nr. 10.

TREŚĆ: Pomnik Juliusza Słowackiego (z ryc.) — Juliusz Słowacki, Odwiedziny piramid. — Wzajemna pomyłka, powieść przez Teresę Jądwigę. — Na co zwierzętom potrzebne są barwy przez Dr. M. Stefanowską. — Ryciny do pow. „Trzydzieści lat wśród dzikich.” — Jan Niewdzyd, powieść z dawnych czasów przez Zuzannę Morawską (c. d.) — Wybuch Etny (z ryc.) Dodatek: Nieproszeni goście, omacnica jabłkowa (z ryc.) — Bajka o Karolku i smoku (z ryc.) — Pacierz, wiersz przez Stan. Jachowicza. — Ciotka Iza. — Łamigłówki i rozwiązania. — Skrzynka do listów. — Nowe książki. — Dodatek książkowy: Trzydzieści lat wśród dzikich, przygody Ludwika de Rougemont, opracowała dla młodzieży Walerya Marrené.

WIECZORY RODZINNE

NIEPROSZENI GOŚCIE.



Omacnica jabłkowa.

Słownie wyglądał ogród owocowy. Drzewa, osypane kwiatem, zdawały się zupełnie białymi, a miła ich woń rozchodziła się daleko w okolicy.

Ucieszone pszczoły bogatym zbiorem zlatywały się rojami i chciwie spijały sok z kielichów kwiatowych.

— Trzeba się spieszyć — myślały sobie — nie zawsze kwiaty na drzewie kwitną, nie zawsze cudny zapach z siebie wydają, nie zawsze nam taką uciechę wyprawiać mogą.

I miały rację skrzętne owady.

Wkrótce białe płatki zaczęły opadać, i drzewa zda się poszarzały, straciwszy swój strój wspaniały. W ogrodzie znowu cisza zaległa, ani pszczoły ani osy już nie brzęcą, nie mają po co tu przylatywać.

Tymczasem bez najmniejszego szmeru unosi się teraz nad temi samemi drzewami jakiś mały motylek, którego przednie skrzydła czarno-niebieskie, tylne — czerwono-brunatne. To omacnica, jabłecznik. Teraz jej właśnie najmilszy jest ogród, teraz dla niej najpowabniejsze jabłonie i grusze. Kwiatów na nich niema, to prawda, ale cóż to szkodzi, one jej są niepotrzebne, najsmaczniejszy kasek właśnie został; został po kwiatku, na wierzchu jeszcze lepki od miodu słupek. W nim to jest załazek mięstego owocu.

Omacnica, nie namyślając się długo, składa jajka, przyczepia je dobrze do słupka, obejrzawszy poprzednio, czy mocno się gałązka trzyma i spokojna już zupełnie o swoje przyszłe dzieci, odlatuje w świat daleki.

Wylęgłe z jaj gąsienice zdziwiły się z początku bardzo, że tak wysoko siedzą, a potem wkrótce uznały, że na samym widoku długo im zostawać jest rzeczą równie niewygodną jak niebezpieczną, usiłują więc coprędzej dostać się do wnętrza. Bo też tu raj prawdziwy! przy-

tulnie, miękko, jak w kołysce — i jedzenia pod dostatkiem, bo mogą wyjadać mięso młodego owocu.

Z dniem każdym rozrasta się jabłko, już nabiera delikatnego żółtego koloru, a z boku rumienić się zaczyna... Ale i gąsienica dobrze się chowa, z maleńkiej już wyrosła na dość dużą, tylko sen ją teraz morzyć zaczyna, a w jabłku zasnąć niebezpiecznie. Czuje ona bowiem, że spać będzie długo; a niewiedomo, co się z jabłkiem stanie gdy dojrzeje. Wylazi więc ostrożnie ze swego mieszkania, wchodzi na pień i zatrzymuje się między szparami kory:

— Mogłabym tu pozostać — myśli sobie omacnica — ale zbyt twarde mam posłanie, zewsząd mnie kora uciska.

I zdecydowaną była pójść dalej, ale stawała się coraz to senniejsza, tak, że już nie miała sił ruszyć się z miejsca; zaledwie zdążyła osnuć się w pajęczynę i zasnęła snem mocnym i słodkim aż do przyszłej wiosny.

Tymczasem owoce dojrzały, a było ich w tym roku bardzo obficie; szkoda tylko, że wiele z nich okazało się robaczywemi, a to z przyczyny nieproszonych gości: jabłeczników, które przez lato żywiły się niemi.

Maryla Weryho.

Bajka o Karolku i Smoku.

Karolek budował sobie właśnie pałac, gdy mu to oznajmiono, więc rzucił wszystkie klocki na ziemię w nieładzie, bo też nowina była niezwykła i zdumiewająca.

Posłuchajcie: zapukał ktoś do drzwi wchodowych i z dołu doleciały jakieś głosy. Po chwili wbiegła niania, wołając:



Karolek siada do swojej karety.

— Panicz, panie Karolku, przyszedli po panicza, bo chcą panicza zrobić królem!

Umyła go, włożyła mu świąteczne ubranko, przyczesała włosy. A Karolek wciąż się wypraszał, mówiąc:

— Nianiu, nie trzeba, mam czyste uszy, poco przyczysywać, i tak dobrze!

Niania wyszła po czystą chustkę, a Karolek korzystając z tego wybiegł do salonu bez chustki do nosa.

W salonie stało dwóch bardzo poważnych jegomościów w ponsowych płaszczach, mieli na głowach korony z aksamitnymi denkami, sterczącymi w złotej oprawie, jak krem w ciastkach. Obaj ukłonili się Karolkowi nisko i poważniejszy powiedział:

— Pra-pradziad waszej królewskiej mości umarł, i teraz na was, miłościwy panie, przyszedła kolej, zasiąść na tronie przodków.

— I owszem — odrzekł Karolek — a kiedy?

— Wasza królewska mość zostanie ukoronowana dzisiejszego wieczora — objaśnił drugi jegomość, nie taki poważny jak tamten.

— Czy panowie pozwolą mi zabrać nianię? Czy kto po mnie przyjdzie i o której? Czy mam wziąć aksamitne ubranko z kołnierzem koronkowym? — pytał Karolek.

— Nianię zabierzemy potem, królewskie szaty czekają na miejscu.

Poważny jegomość szedł przodem i poprowadził Karolka do wspaniałego pojazdu, zaprzęzonego w ośm białych koni, który stał przed domem.

Karolek raz jeszcze pobiegł na górę, aby nianię pożegnać.

— Dziękuję ci — mówił — żeś mnie umyła, szkoda, że nie pozwoliłem umyć lewego ucha. Nie! teraz już za późno. Daj mi sznurek do skakania... Dowidzenia, nianiu!

— Dowidzenia, kotku — odpowiedziała niania — bądźże grzecznym królem, nie zapomnij mówić: „proszę” i „dziękuję,” a pamiętaj ustępować panienkom i nie nabierać za dużo łakoci na talerz.

A zatem Karolek pojechał, żeby zostać królem. Nie spodziewał się nigdy takiego zaszczytu, więc mu się to w głowie nie mogło pomieścić. Jadąc przez miasto, gryzł sobie usta i język, żeby się przekonać, że nie śni, bo jeżeli czuł ukąszenie, to nie był to widocznie sen, tylko jawa. Przed pół godziną budował sobie pałac z klocków w pokoju dzieciennym, a oto teraz ulice powiewały flagami, w każdym oknie było pełno ludzi, wszyscy wymachiwali chustkami i rzucali kwiaty; tysiące głosów wołało:

— Niech żyje król Karol! Nasz mały Karolek!

W pierwszej chwili było mu żal, że nie włożył najładniejszego ubranka, ale wkrótce o tem zapomniał.

W drodze, poważni jegomoście, z których jeden był kanclerzem a drugi pierwszym ministrem, opowiadali Karolkowi o jego pra-pra-pradziadku, który bardzo lubił książki. Pierwszy minister ocierał łzy, cisnące mu się do oczu na to wspomnienie. Karetą wreszcie stanęła, wysadzono z niej Karolka i zaprowadzono go na koronację.

Ceremonia trwała całą godzinę, Karolek był bardzo zmęczony i rad, gdy znalazł się wreszcie w dzieciennym pokoju, na zamku.

W dzieciennym pokoju czekała już niania i herbata była gotowa, a do niej bułeczki z szynką i ciastka i konfitury. Po herbacie Karolek rzekł:

— Chciałbym przejrzeć jaką książkę z obrazkami. Czy mogę, nianiu?

— Ma się rozumieć — odpowiedziała. — Niech wasza miłość pójdzie do biblioteki, na pierwsze piętro i wybierze sobie, co sam zechce.

Zatem Karolek pobiegł do biblioteki, byli tam i kanclerz i pierwszy minister. Gdy wszedł, skłonili mu się bardzo poważnie i pytali uniżenie, czego sobie życzy. Ale on zawołał:

— Mój Boże, jakie mnóstwo książek. Czyje to?

— Waszej królewskiej mości — odpowiedział kanclerz. — Należały niegdyś do nieboszczyka króla, waszego pra-pra-pra...

— Tak, wiem — przerwał mu Karolek. — Wszystkie przeczytam. Lubię bardzo czytać. Jak to dobrze, że już się nauczyłem!

(d. c. n.)

Pacierz.

Kłęczały dziecięcki, mówiły pacierze,
Modlitwę Pańską i Zdrowaś i Wierzę,
Lecz usta mówiły, serce nie wiedziało,

Co się wymawiało.

Patrzyłem, i serce bolało mnie szczerze,
Że tylko ustami mówiły pacierze;

Skończyły dziecięcy, w końcu — przeżegnanie;
Ja ciągle z boleścią patrzyłem się na nie.

— Czy znacie Krzyż Święty — pytałem ciekawy,
Boć krzyżem się nasze zaczynają sprawy,
I krzyżem kończymy, co było zaczęte. —
Rozpytuje dzieci o to godło święte,

A dziecko mnie każde obojętnie słucha,
Powie: „w Imię Ojca i Syna i Ducha,”

Ale w przeżegnaniu żadnej myśli niema.

Dziecko znak powtarza, słów się tylko trzyma.

— Oj, dziatki kochane! — mówiłem ze łzami —

Na krzyżu był Chrystus, okryty ranami;

Straszna to pamiątka! Pan umarł dla ludzi:

Niech się przy żegnaniu ta myśl wielka budzi.

Wspomnijmy na gwoździe, wbite w ręce zdrowe!

Wspomnijmy na cierniem poranioną głowę!

Wtenczas się żegnajmy i módlmy się szczerze,

A duszę pokrzepią zmówione pacierze.

Nie myślny przy modłach o próżnej swawoli,

Niech rana Chrystusa i nas, dziatki, boli,

Myśl wznieśmy do Nieba z uczuciem, z pokorą,

Tam świętą modlitwą anieli odbiorą,

Oddadzą ją Panu, Panu nad Panami,

On będzie miał litość, opiekę nad nami;

Zdrowo nas wychowa, życie nam przedłuży,

Bo Bóg tego kocha, co mu wiernie służy.

Stan. Jachowicz.

Ciotka Iza.

(Dalszy ciąg).

W saloniku zapanowało chwilowo milczenie. Nina sponsowała. Wstała z krzesta i nie wiedziała co z sobą zrobić, w oczach błysnęły jej łzy, siłą woli powstrzymała się, aby nie wybuchnąć głośnym płaczem. Marychnie żał się zrobiło nierozsądnej Ninki, podeszła do niej i wzięła ją pod rękę.

— To już może dosyć będzie tej zabawy — rzekła — mama zagra, a my jeszcze trochę potańczymy.

Pani Zalińska chętnie po raz drugi usiadła do fortepianu i znów rozpoczęły się tańce. Lecz Nina i Zosia nie odzyskały już humoru. Usiadły obie na uboczu, a Nina z niecierpliwością czekała chwili, aby móżdżek wyprowadzić z siebie te cudze piórka, jak je nazwał Stefan; czuła się tak okropnie skrępowaną i zawstydzoną, że nie śmiała oczów na nikogo podnieść.

Powoli też dzieci, znużone kilkogodzinną zabawą, zaczęły się rozchodzić, dziękując pani Zalińskiej za wyborną zabawę, a ta z prawdziwie macierzyńską starannością otulała każde własnymi rękami w chustki, płaszcze i pod opieką odsyłała do domów.

Salonik powoli opustoszał; prócz Niny wyczekującej swej kolei, a już przebranej w inną sukienkę, Zosi i domowych panienek, nikogo więcej nie było.

— Ale też niegrzeczny ten Stefan z temi swojemi wierszami — zaczęła pierwsza Zosia — a utrzymywałaś Marychno, że we Wrześniówce ludzie są dobrze wychowani, wcale tego ten młodzieniec nie dowiódł.

Pani Zalińska uśmiechnęła się na to i usiadła obok Niny.

— Nierozważnie dziś postąpiłaś — rzekła tonem wymówki — i według zdania mego, to co cię spotkało jest zupełnie zasłużone; wstydić się swej skromnej choć przyzwoitej sukienki jest niemądrze zrozumianą pychą, skromny ubiór nigdy człowieka poniżyć nie może, rzeczywistość jego wartość stanowią tylko wewnętrzne zalety.

Kazi żał się zrobiło Niny siedzącej ze skwaszoną miną, stanęła więc znów w jej obronie.

— Tak, mam, Nina źle zrobiła, lecz do tego namówiła ją Zosia.

— To w niczem nie zmniejsza jej winy. Ninie nie powinno było pozwolić zrobić coś podobnego jej własne serce, i przywiązanie do ciotki Izy, o którym tak często opowiada.

— Tak, mam — wtrąciła tymczasem Marychna — zbłądzić raz można, lecz drugi raz Nina tego nie robi.

— Mam nadzieję — dodała pani Zalińska — a teraz dzieci moje, późno już bardzo, ja czuję się strudzoną i chętnie się położę.

Nina pożegnała więc wszystkich i powróciła także do domu.

Cicho jak myszka, by śpiącej ciotki nie zbudzić, wsunęła się do swego łóżeczka, ale zasnąć wcale nie mogła. Zamykała oczy, lecz dobrotliwy sen nie przychodził, w uszach brzmiały jej ciągle usłyszane wiersze, wi-

działa wkoło uśmiechnięte twarzyczki, ironiczne spojrzenia, czuła jeszcze piekący ją rumieniec na twarzy. Boże! Boże, tyle wstydu i to ona sama na to się narażiła. Ale jak jej też ślicznie było w tej sukni, mieć takie, swoje własne, czy może być coś miłszego, czy ona kiedykolwiek będzie miała coś podobnego na sobie. Boże, dla czego ta ciotka nie jest bogatą. Przewracała się długo jeszcze, wreszcie usnęła.

Słońce dawno już weszło, ozłociło pola, łąki, ptactwo ożywiło miłym swym świergotem lasy i gaje, pracowite pszczołki brzęczały, przelatując z kwiatka na kwiatek, a Nina spała jeszcze.

— Śpij, drogie dziecko — szeptała ciotka Iza, a zwracając oczy na sukienkę, pomyślała:

— Jak jej nic nie wygniotła, jak widać szanowała pracę rąk moich, kochane, pocziwe dziewczę.

Gdy Nina nareszcie przetarła oczy, zarumieniona od snu wpadła do kuchni, by ciotce powiedzieć dzień dobry, zdumiona była, że bez jej pomocy wszystko było już zrobione. Ona tak doskonale spała, takie miała sny rozkoszne. Widziała się we śnie bogatą panną, w wielkim mieście, ślicznie ubraną, chodziła po jakimś dużym ogrodzie. Zasepiona smutną rzeczywistością, usiadła do herbaty. Ciotka ją sama jej podała, pogładziła jasne włosy i podniosła twarzą ku światłu.

— Jakoś mi dziecko nie wesoło wygląda, po tej wczorajszej zabawie.

— Nie, ciociu!

— Ej, czyżby się wprawne moje oko pomylić miało? Nina próbowała się uśmiechnąć.

— Pewnie cioteczko.

Lecz ciotka w oczy dziewczynki spojrzała uważnie. Na dzień tego młodego serca coś tam być musiało, ciotka wyczytała to z mętnego jej spojrzenia. Ale co takiego, czyżby jej kto zrobił jaką przykrość? Nie zapytała jednak, czekała, czy Nina sama nie zacznie. Lecz to skryte stworzenie nie rzuciło się na szyję swej opiekunki z wyznaniem na ustach, zapomniała zresztą może o swem przewinieniu.

Gdy wieczorem po skończonych zajęciach i lekcjach z dziećmi, usiadły obok siebie do stołu, Nina nie pomyślała nawet o tem, że wczorajszy jej postępek, opowiedziany przez jedną z dziewczynek, zabolął ciotkę.

* * *

(d. c. n.)

ZAGADKA.

Fantazyja starożytnych dała nam daleką
Władzę rozporządzania tu życiem człowieka,
A w rękach naszych kądziel i ostre nożyce,
Bładością strachu ludzkie pokrywały lice.
Choć znowu imię nasze teraz używają,
Odmienną całkiem postać przecież nam nadają,
Dziś jesteśmy przestrzeleni, która dom bogacza:
Zielenią drzew i krzewów przyjemnie otacza.
Gdzie w dnie upalne znajdziesz wypoczynek w cieniu,
Przysłuchując się ptasząt wesołemu pieniu.

METAGRAM.

Przez T kobiety jam imieniem znanem.

Przez H straszliwym wulkanem.

ŁAMIGŁÓWKA SYLABOWA.

Smok Waw. dla Giermka.

Z następujących sylab: Ar—e—bi—cyz—das—dy—dra—del—ich—ja—na—na—neu—nia—nar—non—me—men—mi—raw—ru—ri—rzę—sze—ya—ta—pa—wa—wan—wicz—wy—żó—ułożyć wyrazy, których początkowe litery z góry na dół utworzą tytuł drukującej się w „Wieczorach” powieści. Znaczenie wyrazów: 1) Drzewo z rodz. różowatych. 2) Kraj w Azji. 3) Roślina z rodz. amarylkowatych. 4) Biskup smoleński i poeta. 5) Zwierzę z grom. gryzoniów. 6) Wódz tebański. 7) Zwierzę z rodz. łasicowatych. 8) Nizina między ujściami Nilu. 9) Ptak z rodz. brodzących. 10) Rzeka między Peru a Brazylią. 11) Zebranie wielkiej rady w Turcyi.

ZADANIE KONIKOWE.

Od Niezabudki dla kochanych Rodziców.

w	K	r	i	k
u	o	y	i	k
r	e	*	ł	w
k	k	j	k	n
e	u	a	o	u

ROZWIĄZANIA DO N-ru. 40-go.

Szarały 1-ej: Sza — ka — le. 2-ej: To — po — la.

Łamigłówni sylabowej:

1) Zielony. 2) Łabędź. 3) Oran. 4) Trytony. 5) Yukatan. 6) Polipy. 7) Indy. 8) Elster. 9) Ner. 10) Ili. 11) Antylla. 12) Desna. 13) Złoto.

Złoty pieniądz.

Łamigłówni kryształowej:

L
N i l
K a z a n i
L i z b o n a
s l o w o
I n n
a

Helence Olsz., listu o zmianę adresu nie otrzymaliśmy poprzednio, może bracišek zapomnieli napisać, lub też list jego zaginął na poczcie. Obecnie pomyłka naprawiona i adres zmieniony.

Temuż zapewne losowi uległ list Helenki Hów., bośmy go wcale nie otrzymali i „Wieczory” posyłane były stale do Ameryki. Szkoda, że zaraz po przyjeździe nie upomniałaś się o nie w Redakcyi, chcąc jednak zadość uczynić twej prośbie posyłamy ci wszystkie brakujące numera.

Dobre rozwiązania zadań otrzymaliśmy od: Kadłubka Gwiazdki z Zagorzan, Szarego Wilka, Białej Gołąbki, Zosi i Kazia C. Nadesłali też zadania własnego układu: Laszka, Kadłubek, Strzelec, Trzmielina, Marylka W. Waleczny Rycerz i Mała Fanienka.

Przeczytanie twego listu Sarenko z Sokół, zajęło mi tak krótką chwilę, że nie mogę się zgodzić z twem zdaniem i nazwać go zbyt długim. Powiem nawet wręcz przeciwnie, za krótkim mi się wydał i na następny raz życzyłabym sobie więcej wiadomości znaleźć i wyczytać. Wakacje spędziłam bardzo przyjemnie i wesoło, ale z chęcią powróciłam już do zwykłych zajęć. Donieś mi czy i ty z równą przyjemnością zabrałaś się do nowo rozpoczętych lekcji i czy z łatwością idą ci nauki. A nie zapomnij napisać o mądrym „Rurusię.”

Metagram i zagadki Strzelca złożyłam w Redakcyi dla osądzenia, czy nadają się do druku. Sama, jako nie obznajmiona w tej kwestyi, stanowczej odpowiedzi dać nie mogę, zdaje mi się jednak, że parę zagadek tak dobrze jest znanych i łatwych do odgadnięcia, iż nie będą pomieszczone. Nagrodę posyłamy pod wskazanym adresem. Książka p. t. „Przygody młodego chłopca w szkołach”—kosztuje w karton. r. 1.

Trzmielinie z podobną odpowiedzią pospieszam, łamigłówni w Redakcyi oddałam, ale czy będą przyjęte decydować nie mogę. Nie dziwię ci się bynajmniej, że będąc u wód nie miałaś czasu na wypracowanie konkursowe, za to sakiówka otrzyma może nagrodę, lub pochwałę, a w każdym razie zostawi ci zadowolenie wewnętrzne, żeś uradowała jaką biedną dziecinę.

Kochana Jodełko z nad Wilii bądź przekonana, iż nigdy nie zapominam o tobie, w czasie wakacji ktoś z Redakcyi nie obznajmiony dokładnie z naszą korespondencyą, napisał do „drugiej” Jodełki. Nic też nie wiem o twym poprzednim liście, bo dopiero od kilku tygodni powróciłam do Warszawy. Sprawozdanie z konkursu na wypracowania musiało cię zadowolnić, bo znalazłaś swe imię w liście nagrodzonych, życzę ci byśmy i w następnym konkursie znaleźli cię na tem samem miejscu.

Lubianej. Pytasz mi się o radę? A więc radę przede wszystkim, pracuj pilnie, czytaj pisarzy naszych o ile ci czas na to pozwala, i jeżeli tylko masz ochotę to przysyłaj nam próbki twojego pióra. Nie zrażaj się jednak, że drukowane nie będą, bo czego innego wymaga Redakcyja od wypracowania młodych czytelników, a czego innego zupełnie od autorów. Jeżeli przecież chcesz mieć zdanie o której ze swych powiastek, to na odpowiedź nie będziesz długo czekała.

Miłym listkiem Topolki, Sosenki, Jodełki z nad Styru i Laszki bardzo rada byłam i odczytałam je z prawdziwą przyjemnością. Roboty otrzymaliśmy na czas, zaliczone zostały do robót konkursowych, a miejmy nadzieję, że w niedalekiej przyszłości imiona wasze pomiędzy nagrodzonymi odnajdziemy. Zaginiony numer „Wieczorów” i żądane premium wysyłamy. Za wszystkie wiadomości, któremiście mnie obdarzyły bardzo dziękuję, a ponieważ trzy pierwsze jesteście siostrzyczkami, a Laszka mieszka i uczy się razem, dla braku miejsca jedną daję wam odpowiedź. Proszę też bardzo nie zapominać o mnie na długo, bo z niecierpliwością oczekiwam od was będących dalszych wiadomości, a tymczasem się całę waszej czwórce najserdeczniejsze pozdrowienia.

Jaskółka.



Skrzynka do listów.

Jadzi Lub., i Zosi Ski., pod nowo wskazanym adresem wysyłamy „Wieczory,” jak równie życzliwe pozdrowienie.